

Nasze codzienne lęki, czyli o paradoksach historii literatury

Marta Zielińska

Marta Zielińska

Nasze codzienne lęki, czyli o paradoksach historii literatury

Zacznijmy od truizmu. Literatura jest po to, aby o niej myśleć, mówić i pisać. Tekst literacki, niepodobny zupełnie do innych typów wypowiedzi, domaga się egzegezy, wyzwala potrzebę dyskusji, wyjaśnienia, interpretowania — bez tego byłby niepotrzebny i martwy. Historia literatury również wyrosła z owej potrzeby zgłębiania tajemnicy dzieła i jego twórcy. Jednakże szersze ambicje poznawcze tej dziedziny wiedzy uchylily, unieważniły jakby podstawowy paradoks, zawierający się w refleksji o twórczości literackiej. Ten mianowicie, iż specjalna wartość literatury — to wszystko, co decyduje o jej szczególnym byciu, o epifanicznym istnieniu w języku — wymyka się mniej lub bardziej uczonej egzegezie, nie poddaje się wyjaśnianiu, rozłożeniu na czynniki proste. Nie ma jednej egzegezy, bo gdyby była, literatura stałaby się niepotrzebną gmatwaniną znaczeń, bezsensownym zaszyfrowywaniem treści, które da się wyrazić w inny sposób, łatwiejszy i jaśniejszy. Historyk literatury wszakże musi — przynajmniej na chwilę — zapominać o tym paradoksie, musi przyjąć jakąś jedynie właściwą czy najwłaściwszą interpretację dzieła — inaczej nic nie napisze. A przecież nie chodzi tu tylko o odizolowane interpretacje, takie, jakie ma prawo tworzyć każdy zwykły czy-

telnik. Jest znacznie gorzej, bo badacz, chcąc wyjaśniać dzieje literatury, musi również uznać, wstępnie założyć, iż światem, który opisuje, rządzą konieczności, prawidłowości, zależności, oczywistości, a przypadki nietypowe i dziwaczne ekscesy, nie są w istocie nietypowe, tylko wymagają jeszcze bardziej pracowitego, głębszego wyjaśnienia. Służą temu celowi, utrwalają go takie pojęcia i kategorie badawcze jak wpływy, motywy, klasyfikacje, periodyzacje, prądy, kierunki, porównania, konteksty itd. Bez nich nie ma historii literatury. Natomiast samą literaturę podobna wizja świata zaraz by zniszczyła, unicestwiła (co nie znaczy, iż niektórym twórcom to się nie zdarza). Jej wartość bowiem polega na tajemnicy, niepewności, wieloznaczności, zdziwieniu, zaskoczeniu, na formułowaniu pytań, a nie odpowiedzi.

Jak widać zatem, literatura i historia literatury mają zupełnie przeciwne punkty wyjścia. Inne więc są ich konsekwencje i inne marginesy wolności. Twórca może być ostentacyjnie subiektywny, jawnie nieodpowiedzialny, prowokujący — nie tłumaczy się z tego, co robi. Intelktualista—wyjaśniacz — odwrotnie. Udaje pewność, nawet gdy powątpiewa — lubi dowody, fakty, efektowne uogólnienia, nazwane problemy. Jego świat to świat przejrzystych argumentów. W praktyce oczywiście wszystko się trochę miesza, są powieści jak artykuły, a artykuły jak poematy. Lecz nie o tym będzie teraz mowa, i nie o konwencjach obu tych dziedzin. Ważniejsze są ich marginesy wolności. W skrócie, w symbolicznym skrócie, dałoby się powiedzieć, że literatura opiera się na metaforze, zaś historia literatury (i w ogóle refleksja o tekstach) na dosłowności. Wolnością literatury, terenem swobodnych kombinacji, byłaby jej zdolność wyrażania niewyraźnego poprzez naddatek znaczeniowy nadbudowany nad tekstem, a związany z jego szczególną organizacją językową. Wolnością historii literatury byłby naddatek interpretacji (przechodzącej czasem w przeinterpretowanie) — do czego tekst dostarcza materialnej podstawy. Owe dwa rodzaje wolności nie są tożsame. Nieliniarna, jednoczesna oscylacja znaczeń literackich jest nieprzekładalna na dyskursywny, linearny tok wywodu. Pierwotny cel historii literatury, czyli potrzeba zrozumienia dziejów pewnego obszaru kultury oraz swoiście deterministyczna wizja świata, konieczna przy realizacji tego celu sprawiły, iż powstał mit o naukowym charakterze takich badań. Przekonanie, że da się ogarnąć, sprawdzić, opisać, podsumować, wy-

tłumaczyć, że można się zbliżyć do pewnego kresu, do ostatecznych diagnoz. Przekonaniu temu służą nieszczęsne „stany badań”. Staramy się wierzyć w ich sensowny przyrost, w postęp. A to złudzenie, bo różnice w interpretacji biorą się głównie z czasu i miejsca, z tego, kto i kiedy na dzieło patrzy. Ale trzeba się łudzić, by móc istnieć naukowo. Gombrowicz zakpił okrutnie z pretensji badaczy do uporządkowanej wszechwiedzy. Trudno się oprzeć i nie zacytować owego fragmentu *Dziennika*:

Rzućmyż okiem na girlandę głupstwa, owijającą się wokół naszej erudycji.

Przecież to skandal, żeby oni dotąd nie mieli języka na wyrażenie swojej ignorancji; wciąż i wyłącznie muszą wyrażać zatem swoją wiedzę, swoje „opanowanie przedmiotu”.

Gdy zasiadają na podium i zabierają głos, klamka zapadła: muszą wiedzieć, nie wolno nie wiedzieć lub wiedzieć mniej więcej, nawet gestem, nawet mrugnięciem nie mogą zasygnalizować, że ich wiedza dziurawa i na chybił trafili...

Na obszarze wszystkich dyskusji, trawiących *episteme* zachodnią, nie dojdzie was jeden jedyny głos, który by zaczął od „dokładnie nie wiem... nie znam... dobrze nie przeczytałem... kto by tam to wszystko zapamiętał... nie ma czasu na czytanie... coś tam wiem, ale niezbyt...” A przecie od tego trzeba by zacząć! Ale któż by się poważyl! Mogliby tak zacząć, ale wszyscy naraz, dawszy sobie uprzednio słowo honoru! [...]

Zatrączę jeszcze o oczywistą głupotę metod, chorych na tę samą wewnętrzną sprzeczność, o której już nadmieniałem. Metody humanistycznej *episteme* zachodniej są tym bardziej ściśle, im bardziej ich obiekt jest nieokreślony; tym bardziej naukowe, im mniej ich obiekt nadaje się do naukowego ujęcia.

Fakultety humanistyczne uniwersytetów pękają od ciężkiej, profesorskiej bzdury. *Delenda est Cartago!* Likwidować! [W. Gombrowicz *Dziennik 1961–1966*, Paryż 1971, s. 207–208].

Gombrowicz dobrze wyczuł, że ta nauka jest cokolwiek podejrzana, że niby formułuje sądy absolutne, kategoriyczne, a jednocześnie wszyscy gryzą się strasznym przypuszczeniem, iż dysponują — każdy z osobna — jakąś zupełnie inną wiedzą. Właśnie. Dramat bierze się stąd, że owa nauka bardziej przypomina rzemiosło artystyczne. Kto ma lepszy materiał i lepiej go wykorzysta, „obrobi”, uzyska lepszy efekt. No, ale gdyby się to wydało, powstałby ogólny kryzys. Choć on i tak istnieje, co prawda w stanie niejawnym, chronicznym, więc łatwo spychanym do podświadomości. Paradoksów nie da się wyminąć. Dlatego też historia literatury jest dziedziną samo się wyniszczającą. Już nawet podczas odosobnionego, konkretnego badania naukowego czegokolwiek popada się w rozterki. Wszystko, o czym się akurat pisze, zdaje się jakby konieczne i oczywiste, ale po głębszym namyśle — to nie tak bardzo. Nasze żmudnie konstruowane syntezy często wiszą w powietrzu, gdzieś tam tylko dotykają ziemi, lecz nigdy cał-

kiem nie przylgną do faktów. W humanistyce zawsze są „dwa końce”, jak w przeklętej psychologii — parafrazując Dostojewskiego. To niby zabawne, niby ma urok jakiś, niestety nie wtedy, kiedy się chce coś uczciwie zbadać. Bo okazuje się, że nie można uczciwie. W efekcie — tylko wątle teoryjki, podchody, naginanie faktów do granic wytrzymałości, przeinterpretowywanie, tworzenie abstrakcyjnych bytów w rodzaju „świadomości epoki”, które tak naprawdę nie istnieją, a jeśli, to w sferze idealnych wyobrażeń oraz pobożnych życzeń. Łatwo teoretyzować, gorzej później stosować teorię w praktyce historycznoliterackiej. Popada się bowiem w błędne koło. Bez teorii, bez wstępnej koncepcji, bez hipotezy nie sposób odnaleźć się w chaosie materiału. A z teorią — skoro już powstanie — po co jeszcze zmuszać do badania? Żeby ją niechęć obalić? Kryje się w tym sprzeczność i pewna nieuczciwość: jeżeli się coś robi „pod teorię”, to podświadomie szuka się przykładów potwierdzających. Sama hipoteza przecież stwarza konieczność określonego uporządkowania materiału. Sformułowanie nowej teorii sprowadza cały wysiłek do zera, a ta nowa bywa równie względna. Po tym wszystkim, jeśli badacz sam się nie zniszczy, zniszczą go z czasem inni. Tą samą bronią. Co więcej, historia literatury nie jest bynajmniej pisaniem o czymś pisaniu, ale pisaniem o czytaniu. O osobistym, a nie obiektywnym czytaniu. I nawet, gdy przyznaje się rację poprzednikom, to nie całkiem. Bo inaczej w ogóle trzeba by przestać czytać. Tu wiedza nie nawarstwia się, nie dodaje, nie sumuje, choć stwarza takie pozory. Ważna jest zawsze lektura własna.

Skutki takiego stanu rzeczy, tej nieusuwalnej paradoksalności historii literatury, są dość ponure. Jej stan posiadania szybko się rozpada, dezaktualizuje — w przeciwieństwie do literatury. Prace badaczy niedługo żyją i wkrótce stają się pomocniczym materiałem w pracach kolejnych badaczy. Poza tym — dla przeciętnego konsumenta beletrystyki, historia literatury jest strasznie sucha i nudna. Czytelnik taki szuka w opracowaniu kontynuacji wrażeń z lektury, dalszego ciągu dzieła, a znajduje coś zupełnie innego. Najczęściej odczuwa zmęczenie i zawód, bo z uczonego tekstu, atakującego go ciężką artylerią erudycji, dowiaduje się w końcu, że w dziele było tylko to, nic więcej, żadnej nieokreślonej głębi, żadnej tajemnicy. Z autora pozostaje wyżęty strzęp, a puchnie papier badacza.

Historia literatury ma właściwości wampiryczne. Nieusuwalnym

składnikiem jej twórczości, jej życia – jest inna twórczość. Dlatego ta nauka, niby-nauka, trzyma się na uboczu, kryje w cieniu. Nie zrobi przewrotu. Nawet jeśli ożywi pisarza zapomnianego, to pracuje na rzecz tradycji, nie innowacji. Taki jej los. Wampir może zostać co najwyżej mścicielem.

Pisanie, które działa, które powoduje ruch, życie, musi być zbiorem potencji, niegotowości, luk, braku, niezadowolenia. Musi w czytelniku stwarzać wrażenie, że wszystko jest jeszcze do powiedzenia, że świat się dopiero zaczął. Tak funkcjonuje literatura. Wybitna – odkrywa nie zauważone dotąd możliwości, słaba – drażniąc, pokazuje, że coś da się zrobić lepiej. A co czyni z literatury jej badacz? Widzi w niej pewną całość, uniwersum, spełnienie, prawidłowość, system. I bardzo się stara widzieć jak najwięcej. Z taką świadomością ręce doprawdy opadają, ogarnia zniechęcenie, że „wszystko już było”, że wszystko wymyślili, że już starożytni Grecy i ich następcy... A współczesność może tylko wyważać otwarte drzwi. Niestety, im lepsza, głębsza, wszechstronniejsza jest interpretacja historycznoliteracka, tym skuteczniej paraliżuje zmianę w myśleniu o literaturze i w samej literaturze. Doskonałość bywa niekiedy obeszładniająca.

Jaką więc funkcję pełni historia literatury, ta dziwna wiedza–nie-wiedza o dość dwuznacznym statusie? Jest niewątpliwie swoistym magazynem kultury, przechowującym i zabezpieczającym literackie dokonania przeszłości. Poza tym – i to uważa się za jej równie ważną funkcję – oswaja terażniejszość przy pomocy tradycji. Nie uda się napisać historii literatury bez wstępnego założenia, iż opisywane dzieje rozwijają się w sposób ciągły, że jedno pochodzi z drugiego. Wszystko ma swoją genezę, prapoczątek, przyczynę, precedens, prekursora, kontynuatora, epigona. Nawet bunt i negacja znajdują uzasadnienie, pozwalają się wpleść w ten łańcuszek genealogii. Przy takim spojrzeniu współczesność rysuje się jako „ciąg dalszy”, łatwo wpasowuje się w wykreślone na obszarze przeszłości schematy i klasyfikacje. Czy nie jest to jednak kolejne złudzenie? Historia i terażniejszość są tylko na pierwszy rzut oka bezpośrednio porównywalne, bo przecież są zbudowane z zupełnie innej materii i inny rodzaj poznania oferują. Przeszłość istnieje w nieciągłych fragmentach, kawałkach, zapisanych szczątkach. Wymaga rekonstrukcji, wypełniania luk. Jest jakby Ingardenowskim bytem intencjonalnym. Terażniejszość, przeciwnie – uobecnia się w zagęszczonym, nieprzerwanym

ciągu różnorodnych doświadczeń, w nieustannym — chcianym czy nie — naporze chaosu informacji. Nad przeszłością mamy wszakże pewną odwagę, dysponujemy jej wizją całościową, taką, jakiej nie miał żaden ówczesny człowiek z osobna. Mamy bowiem dokumenty, które nie były wtedy do oglądania. Teraźniejszość nie dostarcza w tym zakresie podobnej wiedzy. To wiedza znacznie węższa, subiektywna, tyle że właśnie dzięki owej subiektywności pełna, bez luk. Krótko mówiąc, obraz przeszłości mamy szeroki, choć dziurawy, teraźniejszości — znacznie ograniczony, lecz szczelny, ze szczegółami. Historykowi sytuacja taka nie sprawia może większego kłopotu, badacz literatury musi się jednak z tym liczyć, ponieważ literatura wyrosła właśnie w dużej mierze z tamtych konkretów, drobin czasu, z tamtych prywatnych ciągłości, które są obecnie najmniej uchwytny, prawie niepoznawalne. W praktyce trudno mieć to na uwadze, więc trzeba się łudzić, że tych dziur w naszym widzeniu przeszłości nie ma, że to, co wiemy, wystarcza do zarysowania nieprzerwanej linii dziejów literatury.

Prawdziwy problem zaczyna się wtedy, gdy chce się tą sztukowaną tradycją oswajać i objaśniać współczesność. Bo żeby to zrobić, żeby „pasało”, należy współczesność podziurawić i zredukować do tamtych wypreparowanych, sklejonych schematów. Innego wyjścia właściwie nie ma, skoro ludzie potrzebują tradycji, to boją się utraty tożsamości. Przy kryzysie religii i paru jeszcze innych wartości mit tradycji, ciągłości kulturowej, stwarza poczucie bezpieczeństwa, stabilności. To w romantyzmie wybuchło strasznie owo włączenie — właśnie w literackie korzenie, bo jak je nazwać? Przecież nie mityczne, mity już dawno leżały pogrzebane i trzeba je było reanimować. Tak jest do dziś. Stąd mania „naukowej genezy” wszystkiego i naukowych dowodów dla naszej duchowej tożsamości. Ale to zgubna droga, bo tkwi w tej działalności nie dający się usunąć paradoks. Mamy jakby wzmacniać tradycją obecne życie, a tymczasem mamy znacznie ostrzejszą niż inni wizję zagłady. Czymże jest bowiem wyrwanie od zapomnienia, reanimacja dawności? Doskonale wiemy, że ona łatwiutko ginie i ślad po niej nie zostaje. Pieśń nie ujdzie cało, niestety, może zniknąć z papierami, więc trzeba ją wyrycić w świadomości współczesnych. To wiek XIX wymyślił, że literaturą uda się zastąpić mitologię. Dlatego i historia literatury nabrała szczególnego znaczenia, powierzono jej misję animatorki tradycji, misję odczytywania zaszyfrowanych przesłań z prze-

szłości. Trudno wszakże wypełniać tę misję z dobrą wiarą, biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo zredukowania w ten sposób współczesności (bo im bardziej jesteśmy tamtymi, z tamtych, tym bardziej przestajemy być sobą). Pozostaje też niepewność, czy owa „pieśń”, z takim trudem przywracana życiu, będzie w stanie żyć dalej sama, poza kręgiem specjalistów. W końcu rodzi się przypuszczenie jeszcze gorsze, albo i lepsze, w każdym razie podstawowe: że może to nie my przywracamy tradycję, ale właśnie żywa, niezależna od woli jednostki tradycja, która chodzi swoimi niezbadanymi drogami, że to ona stwarza nas, razem z naszymi wyborami i interpretacjami.

Te wszystkie paradoksy dzisiejszej historii literatury, podejrzana dwuznaczność jej statusu — pomiędzy naukowością a kreacją, między historią a współczesnością, między obowiązkiem a wolnością — cały ten chaos wpływa na złe samopoczucie badaczy. Z początku owa nieokreśloność historii literatury wydaje się nawet pociągająca, kusi powagą swych zadań i wielością możliwości. Bo jest się jakby twórcą i w dodatku jakby czymś więcej, ponad wszelką literacką produkcją. Bo można zostać demiurgiem wśród bezbronnego materiału. Można zaspokoić ambicje intelektualne i stylistyczne. Szybko jednak, w konkretnej praktyce, dominować zaczyna męczące poczucie braku własnej tożsamości, poczucie, że naprawdę jest się kimś bardzo nieokreślonym, rozrywaniem przez sprzeczne i obce sobie siły. Ścisłe naukowo, z rozmachem a uczciwie działać nie sposób, zadowolenie się drobnym, choć pewniejszym przyczynkarstwem też okazuje się niewygodne duchowo wobec powszechnej ambicji tworzenia obszernych nowych syntez i koncepcji. Realizacja misji reanimacji tradycji również wymaga jakiejś dozy złej wiary, uchylającej podejrzenie, że to posłannictwo jałowe. Żadna też, najgłębsza nawet, interpretacja historyczno-literacka nie zaspokoi niczyjej autentycznej potrzeby ekspresji, bowiem albo odczuwa się wtedy spętanie, określone przez obszar analizowanego tekstu, albo trzeba przerwać wszystkie tamy i opuścić szeregi badaczy, zostać pisarzem, który także przecież żywi się literaturą, tylko inaczej.

Takie pomieszanie kompetencji, hierarchii, celów, zakresu działania, taka ni to wolność, ni to niewola, stwarza poczucie bezsensu, dwuznaczności, jałowości uprawiania tej dyscypliny wiedzy. Rodzą się zarzuty szaleńcze, samobójcze. Że byle grafoman więcej znaczy w kulturze, bo ktoś w końcu o nim pisze, niż my, co w najlepszym razie trafiamy do

przypisów. Że tutaj nie zostaje się Rimbaudem. Że jesteśmy spętani literaturą, jesteśmy jak księżyc, błyszczymy odbłaskiem arcydzieł, odbłaskiem cudzych wielkich spraw, lub — co najwyżej — oświetlamy marnym płomykiem mroki miernoty niewartej uwagi, by nas samych choć trochę było widać. Owe pretensje twórcze połączone z zachwianiem własnej tożsamości sprawiają, iż praca historyka literatury zaczyna wyglądać niejasno moralnie: czy nie chodzi w niej przypadkiem o to, aby wejść do wieczności tylnymi drzwiami, półlegalnie, za plecami wielkich. Przecież interpretator stwarza z tekstu jakby własny tekst, na miarę własnego o nim marzenia.

Ten proces dewaluacji wartości pisania o literaturze zauważył Konwicky w swoich uwagach na temat krytyków:

Nikt nie chce być oficerem, każdy chce zostać generałem. Nikt nie chce być duchownym, każdy chce zostać Bogiem. Nikt nie chce objaśniać wszechświata, każdy chce stwarzać wszechświaty. [...] Zalewa nas wszystkich straszliwa, wysoka pod niebo fala, bezwzględna i jeszcze nierozpoznawalna fala. Ale fala czego? [T. Konwicky *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 1981, s. 44].

Właśnie. Przecież te ambicje nie biorą się ze wzrostu znaczenia literatury. Przeciwnie. Wiek XIX, wiek wieszczów i pisarzy, nie miał takich problemów. Nasz niedobry stan ducha wziął się raczej ze sprzeczności, w jakie nauka o literaturze się uwikłała. Z tego, że próbując pogodzić różne swe funkcje, serwituty, marzenia i możliwości stała się tworem hybrydycznym, nieokreślonym. Z jednej strony historia literatury „ma się dobrze czytać” i — ze względu na odbiorców laików — wyjaśniać rzeczy dawno już oczywiste dla specjalistów. Z drugiej zaś — wywód gmatwany jest odwołaniami, nadmiernymi skojarzeniami, tłumaczeniem się autora z czytanych lektur, gąszczem nazwisk, tytułów i przypisów. A w tym wszystkim ukrywają się jeszcze interpretacje i własne poglądy badacza. Wierzymy niby, że historia literatury nie może być tylko dla wtajemniczonych specjalistów, bo nie może, tak jak inne nauki, dostarczać wyników swych teorii w postaci produktów użytkowych. Przecież takim produktem nie są — i nie chcemy, żeby były — wyłącznie prace popularyzatorskie i podręczniki — z natury rzeczy powierzchowne, operujące skrótami. Tymczasem okazuje się, że większość prac historycznoliterackich dociera tylko do zainteresowanego grona „zawodowców”, umięających się poruszać w tym labiryncie konwencji, umięających oddzielić istotne od nieistotnego, choć koniecznego balastu. I tak, niepostrzeżenie, sami dla siebie stajemy się racją bytu.